

# KRONIKA TYGODNIOWA.

(Babskie lato. — Jubileusz Słowackiego i Muzeum Narodowego. — Jak się udały? — Kto temu winien? — Rozmowa z obywatelem miasta Krakowa. — Bombiarze pod kluczem. — O zdrowotność ogółu. — Sejm się skończył, Rada państwa się zaczyna. — Śladami Siczyńskiego. — Panika między ministrami. — Pattai, czy Pernerstorfer? — Koło Polskie, czy elipsa? — Renneriada).

Jesień i to prawdziwie piękna polska jesień zapanała u nas w całym swym majestacie, jak jedni powiadają, uproszona przez magistrat krakowski, który inaczej nie byłby skończył robót ziemnych w ulicy Floryańskiej i Grodzkiej, jak drudzy, zesłana na pociechę sufrażystek, aby przekonać świat, że „babie lato“ daleko jest piękniejsze od męskiego, *ergo*, że kobiety ... powinny uzyskać czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze do wszystkich instytucji, jak je mają mężczyźni. Która z tych wersji jest prawdziwszą, zostawiam to rozstrzygnięciu łaskawego Czytelnika, konstatuję tylko, że pogoda w atmosferze podziału bardzo dodatnio i na barometr uspołobienia ludzkich, tak że nawet poseł Staruch uspokoił swój zwykle łagodny (choć mało elektryczny) umysł i ułożył swe usta do przyjemnego uśmiechu, ciesząc się, iż od dwudziestego października po dwadzieścia koronek dyet wpłynie codziennie do kieszeni, nie tak, jak dotąd, po dziesięć. Za taką cenę to nie opłaca się nawet robić obstrukcji, a tembardziej narażać się na śmieszność... Dwadzieścia koron, to już zupełnie co innego.

*Ex re* pogody przypuszczaliśmy wszyscy, że wspaniale udamy się oba jubileusze, jakie Kraków święcił w bieżącym tygodniu, tj. Słowackiego i Muzeum Narodowego. Tymczasem pierwszy z nich, święcony na całym świecie, dokąd tylko losy Polaków zagnały, nader uroczyste, w Krakowie wypadł bardzo słabo, przypominając raczej jakąś manifestację na cześć burmistrza Pipidówki w dniu jego imienin, a nie uroczystość narodową, w której miały wziąć udział wszystkie stany. Po czyjej stronie leży wina, warto się zastanowić. Przypuszczać trzeba, że albo sama uroczystość była niepopularna, lub też, że komitet nie wywiązał się należycie ze swego zadania. Pierwsze przypuszczenie samo przez się upada, pozostaje niestety tylko drugie. I rzeczywiście, dużo można zarzucić komitetowi. O obradach, które toczyły się przed uroczystością, podawano tylko suche komunikaty, nie mogące zająć nikogo, w ostatnich czasach coś się tam nawet popsło do tego stopnia, iż prawie w przeddzień uroczystości rozwiązał się komitet pochodowy. Ani jedno, ani drugie do powodzenia obchodu przyczynić się nie mogło. Illuminacja miasta nalepkami Słowackiego była więcej niż umiarkowana, napływ obcych prawie żaden. Przeszedłszy kilkanaście ulic zauważyłem chodząc tylko na magistracie (niebiesko-biała) i na jednym z domów przy ul. Starowiślniej (czerwonobiała). Odbyło się wprawdzie nabożeństwo w kościele Maryackim, celebrowane przez infułata Krzemieńskiego... (a podobno Kraków ma aż dwu biskupów!), kaznodziei jednak nie znaleziono, gdyż stanęło temu na przeszkodzie kardynalskie *veto*!

Socjaliści odbyli w tym dniu swoje zgromadzenie w Ujeżdżalni, na którym zapowiedziano obchód jubileuszu Słowackiego na następną niedzielę i zastanawiano się nad losami gabinetu Bienenrtha. To jednak do uświetnienia ogółu-narodowej uroczystości bynajmniej się nie przyczyniło. Również i match footballistów, odbyty popołudniu, nie miał z nią żadnego związku.

Z prawdziwym pietyzmem obchodziły natomiast rocznicę wielkiego poety, oba nasze teatry, miejski i ludowy, wystawiając z nakładem kosztów i pracy najcenniejsze Jego dzieła. Ratuje to poniekąd honor Krakowa, który dotąd nosił nazwisko polskich Aten, a ostatnim obchodem tradycji tej się sprzeniewierzył. Dużo w tem i winy ogółu, lepiej jednak nie poruszać już całej sprawy, co się bowiem stało, już się nie odstanie! Jeśli nie będziemy o tem wspominać, tem prędzej zapomni świat, jak się Kraków pięknie spał.

Stosunkowo daleko lepiej powiódł się dwudziestopięcioletni jubileusz Muzeum Narodowego, na który zjechała się wcale pokaźna liczba przedstawicieli różnych instytucji naukowych z kraju i zagranicy. Gmach Sukiennic przyozdobiono wspaniałymi flagami o kolorach narodowych, nawet kapituła katedralna łaskawszym spoglądnięciem okiem, wypożyczając na czas uroczystości cennego gobelinu ze swych zbiorów. I miasto, choć to był dzień powszedni, interesowało się dość żywo obchodem, czyniąc złośliwe uwagi, kto winien, że pierwszy się nie udał, choćby tak, jak ten drugi. Najtrafniejszą wydała mi się uwaga pewnego obywatela miasta Krakowa, który, jak sam powiada, zna swych współobywateli

na wylot. Gdym zapuścił się z nim w pogawędkę i zauważył, że w poprzednim obchodzie wzięła udział tak mała stosunkowo garstka krakowskiego obywatelstwa, uśmiechnął się i rzekł:

— To, panie łaskawy, wina tylko komitetu! Gdyby byli się zakręcili lepiej koło sprawy, to i zainteresowanie ogółu byłoby większe!

— Bądź jak bądź — zwróciłem uwagę memu interlokutorowi — komitet w ostatnich czasach dokładał przecież starań...

— Ba... dokładał... dokładał! Ale zapomniał o jednej rzeczy, bez której teraz w Krakowie żadna uroczystość się nie uda!

— Ciekawy jestem bardzo, co to za czarodziejska rzecz?

— Jakto, jeszcze się pan nie domyśla?! — huknął stary tak potężnym głosem, że obaj policyjanci, którzy pilnują biskupiego pałacu, stanęli, jak na komendę i z ciekawością zaczęli spoglądać w naszą stronę. — To pan nie zauważył, że komitet uroczystości Słowackiego zapomniał o jakimś bodaj skromnym obiadku lub kolacyjce w salach starego teatru? U nas panie teraz bez tego nic! Ciężkie czasy, bieda, aż trzeszczy, to też gdzie tam człowiek ma ochotę i czas myśleć o jakimś obchodzie! Jeśli jest gratisowa wyzerka... a... to co innego! Wówczas jest człowiek niejako moralnie zmuszony do wzięcia udziału w uroczystości, by później dostać zaproszenie na bankiet!... Komitet muzealny nie zapomniał o tem wcale i tu leży rozwiązanie zagadki!

— Ma pan dobrodzieju rację! — zauważyłem prawie już przekonany. — Jeśli mi niebiosa pozwolą doczekać pięćdziesiątej rocznicy mojej kronikarskiej działalności, nie zapomnę i ja zastosować się do cennej rady, a jubileusz zyska na świetności i popularności!

— To się rozumie! A prędko to będzie?

— Już niedługo! Za jakieś czterdzieści ośm i pół roku... Mam jednak nadzieję, że do tego czasu odmienią się krakowskie zwyczaje i obejdzie się bez zarcia i picia...

— Dałby Bóg! Dałby Bóg! — zauważył na odchodnym starowina i powoli pociągnął ku Rynkowi, a stamtąd na Sławkowską, do Robackiego, gdzie przy lampce miodku roztrząsa się codziennie losy Europy..., ja zaś skierowałem swe kroki na Floryańską. Idąc zamyślony środkiem ulicy, gdyż trotoary są obecnie dla mnie zaledwie wąskie, o mało nie podzieliłem losu owego nieszczęsnego wozu, który wpadł w kanałową otchłań, w sam czas jednak opamiętałem się i doszedłem jakoś szczęśliwie na miejsce przeznaczenia.

A szkoda! byłoby mojego cennego życia, zwłaszcza teraz, gdy sam już zaczynam wierzyć, iż w sprawach polityczno-społecznych jestem prawie nieomylny. Chodzi mi mianowicie o owe bomby, których wybuch tak przeraził nie tylko Kraków, ale i cały świat i dał sposobność *Berliner-Tagblattowi* do poinformowania swych czytelników, iż w Krakowie wybuchy uszkodziły kilkanaście domów, a wóz tramwajowy rozszarpany został na strzępy. W jednej z poprzednich kronik, wspominając o domniemanym sprawcy, wyraziłem przypuszczenie, iż kto wie, czy nie jest to jakiś aeronauta, a zarazem pirotechnik, który wieczorną porą próbuje swych wynalazków. Widocznie c. k. Dyrekcja policyjna uznała trafność mych uwag, skoro w tym kierunku rozpoczęła dochodzenia. Były one o tyle ułatwione, iż dotąd niema w Krakowie meldowanego żadnego aeronauty, a pirotechników, czyli jak w gwarze krakowskiej się zowią: Piromądryków Technikówskich jest dwu. Po nitce usiłowano dojść do kłębka, no i jeden z nich znalazł się w gościnnych apartamentach „pod Telegrafem“, skąd w bieżącym tygodniu odstawiono go do zakładu św. Michała, razem z gromadką przyjaciół, którzy, jak słyszałem, mieli podobno rzucać żabki strzelające. Ile w tem prawdy, a ile przesady, wykaże dopiero śledztwo sądowe, my jednak możemy spać spokojnie, o jakichś anarchistach, nihilistach lub terrorystach niema ani mowy..., cohy oni zresztą robili w tak spokojnym i łajnym Krakowie..., gdzie można albo zginąć z głodu z powodu drożyzny, albo uwięzić się w dymie, nawet w Śródmieściu, gdzie coraz częściej zaczynają się lokować różne zakłady przemysłowe. (Przy ulicy Zwierzynieckiej ma powstać nowa piekarnia w rzeczywistości Grajowerów). O wąskie siedzenia dla sędziów przysięgłych toczą się zacięte walki, rzadko jednak podnosi się głos, gdy chodzi o dobro ogółu, a chyba kominy piekarni nie przyczyniają się do podniesienia zdrowotności, co łatwo powinien zrozumieć każdy, nawet nie hygienista. Tego rodzaju przedsiębiorstwa mogą znaleźć bardzo dobre pomieszczenie na dalszych przedmieściach, gdzie i podwórza są większe i ulice szersze.

Zaczyna nam także świtać nadzieja, że docze-

kamy się nareszcie rozpoczęcia robót koło uregulowania Wisły w obrębie Krakowa, gdyż rozpisano już licytację na ich część, złośliwi jednak twierdzą ciągle, że to mrzonki, minęły bowiem te czasy, gdy ludzie brali przykład z Matuzalema i żyli po tysiąc i więcej lat.

Sejm galicyjski ukończył nareszcie swe obrady, a posłowie, którzy równocześnie zasiadają i w parlamencie, przygotowują się do jesiennej kampanii, która powinna być interesującą i skończyć się rozpuszczeniem przedstawicieli narodu na zieloną trawę (o ile ją *nota bene* znajdą późną jesienią), a wprowadzeniem nieśmiertelnego paragrafu cztertnastego, który w Austrii dokazuje większych cudów, niż Aleksander Macedoński z węzłem gordyjskim. A se-sya zapowiada się bardzo ciekawie! już choćby ze względu na oświadczenie redaktora Jancy, który wobec prezydenta ministrów Bienenrtha twierdził zupełnie seryo, że Czechom w obecnej sytuacji nie pozostanie nic innego, jak pójść drogą, wskazaną przez Siczyńskiego. Baron Bienenrth pozostawił deputację, zdumioną enuncyacją swego kolegi, a sam czemprędzej pobiegł do najbliższego Towarzystwa asekuracyjnego i na wszelki wypadek ubezpieczył się od wypadku. Trochę mu to było trudno, gdyż Towarzystwa wobec energicznego wystąpienia Czechów premię asekuracyjną dla ministrów podniosły o 50%. Jak zapewniają pisma, mające dobre informacje polityczne z pierwszej ręki, a nie zapomocą nożyc, w jesiennej sesji nie wezmą już udziału ministrowie czescy, którzy nie mogą się zgodzić na przeprowadzone już w kilku sejmach krajowych uchwały co do wyłączności języka niemieckiego. Z tego właśnie powodu grozi gwałtowna burza w parlamencie, której pierwszym aktem ma być zwalczanie kandydatury dra Pattai'a na fotel prezydenta, a forytowanie socjalisty Pernerstorfera, który rzekomo miałby zbawić biedną Austrię. Radziłbym posłom, aby przedewszystkiem, zaraz na pierwszym posiedzeniu, postarali się o spauzsalowanie dyet poselskich, jeśli bowiem rozpędzą ich ry-chło, szkoda pieniędzy, które będą pleśnieć w skarbcu państwowym.

A może ja się mylę? Może przecież raz panowie posłowie wezmą, jak to mówią, na ambit i zamiast się kłócić zaczną pozytywną pracę, po której owocach mogliby poznać ich wyborcy, że posłali do parlamentu nie lalki, które skaczą, jak kto sznurek pociągnie, ale mężów, ożywionych dobrymi chęćmi służenia społeczeństwu, obdarzającemu ich swem zaufaniem. Brać dyety i cicho siedzieć, albo krzyczeć razem z innymi, to każdy potrafi, nasi posłowie nie zdobyli się nawet na tak piękny zespół koncertowy, jak Rusini, którzy swojego czasu produkowali się w Izbie poselskiej i zdobyli rekord wokalny. Nasze Koło Polskie, które ma zamiar zmienić się na elipsę o dwu ogniskach (drugiem chce być koniecznie p. Stapiński), należałoby porządnie wysmarować, jak i czem, zostawiam to uznaniu społeczeństwa, bo skrzypi ono przeraźliwie i gwałtownie prosi się o jakiego energicznego stelmacha, któryby je przeprowadził do porządku. Jakoś jednak, choć rozglądam się po naszych mężach politycznych, takiego majstra, któryby miał na oku interes ogółu, a nie jednego stronnictwa, absolutnie dojrzeć nie mogę i boję się bardzo o los naszej reprezentacji, która coraz częściej mija się ze swym celem. Że zaś stelmach potrzebny, przyzna każdy, śledzący bieg wypadków, widzimy bowiem, że niektóre sprychy (czytaj: ludowcy) mają gwałtowną ochotę wypaść, wtedy rozpadłaby się i obręcz, na co czekają tylko nasi najserdeczniejsi, którzyby nas bardzo chętnie utopili w żyłce wody.

Biedna Austria, która ma do wszystkiego paskudnego pecha, cieszy się przynajmniej, iż przypadkiem udało się i jej zapanować nad powietrzem. Bracia Rennerowie i ich papa, rozmyślając nad wynalezieniem jakiejś sensacji na jarmark jesienny gracki, skonstruowali balon, który, o dziwo! okazał się wcale dobry. Zainteresowało się wynalazkiem całe społeczeństwo, a redakcja dziennika wiedeńskiego *Die Zeit* sprowadziła aeronautów amatorów do Wiednia, gdzie popisowali się wobec cesarza i tłumów publiczności. Przy tej sposobności warto zaznaczyć, iż i w Wiedniu dziennikarze kochają się zupełnie tak samo, jak i u nas. Ponieważ inicjatorką wlotów była redakcja *Zeit*, inne pisma o całym przedsięwzięciu prawie nie wspominały, nie chcąc robić reklamy konkurentce. Cieszymy się więc, że i gdzieś indziej na świecie toczą się sprawy tym samym porządkiem, co i u nas.

X.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna  
**KAWIARNIA J. BISANZA**  
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.